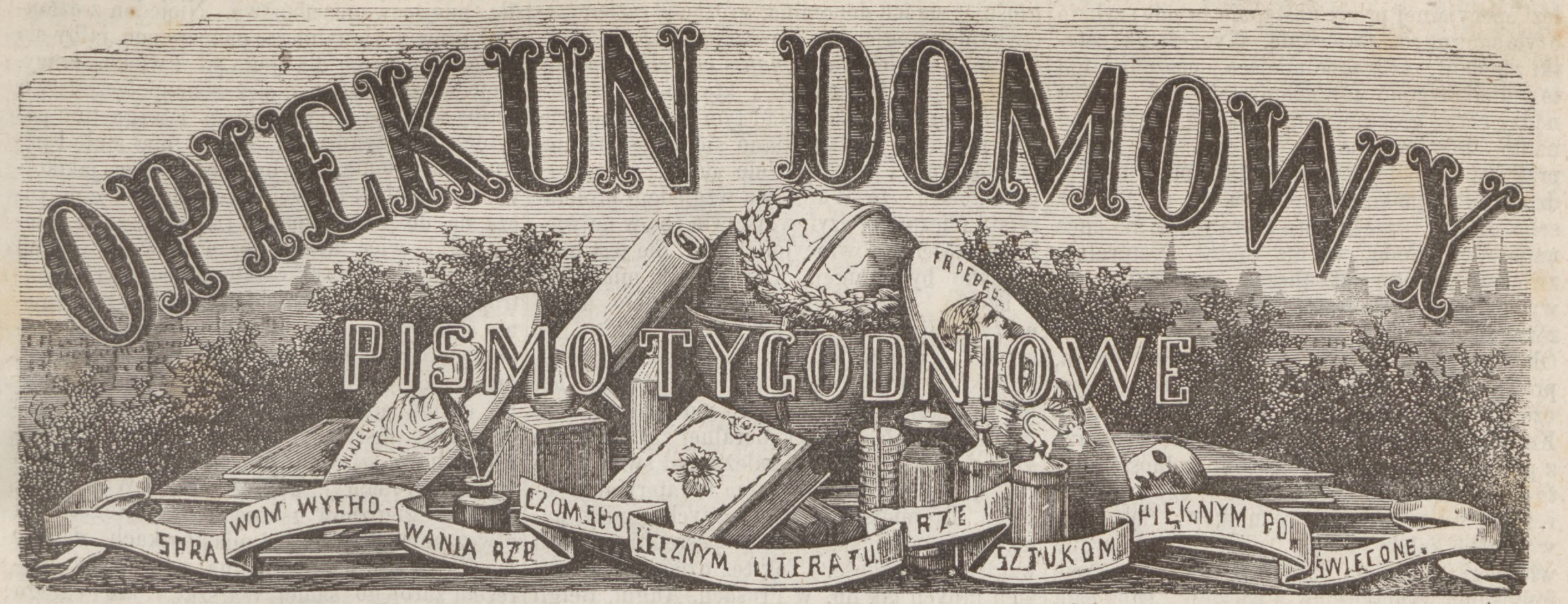
Nr. 11. Warszawa dnia 6 (18) Marca 1874 roku. Rok X.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.
rocznie. . . . rs. 3 k. 60	rocznie . . . rs. 5
półrocznie. . „ 1 „ 80	półrocznie . „ 2 k. 50
kwartalnie. . „ 90	w Austryi roczn. 9 guld.
miesięcznie . „ 30	w Prusach „ 5 talar.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 30 NOWY.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy-Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 10.

WARSZAWSKI PROLETARJAT ULICZNY.

Komuż z czytelników nie jest znanym *warszawski proletaryjat uliczny*? Znamy wszyscy bolącą tę ranę; dotykamy się jej bowiem i patrzymy na nią ustawicznie, czytamy lub słyszymy o niej prawie codziennie. Jak zresztą we wszystkich niemal miastach wielkich, tych naturalnych zbiorowiskach świecącego zbytku i jaskrawej nędzy, tak i w Warszawie naszej, kwestyja pauperyzmu w najdosadniejszych i najsilniej uderzających przedstawia się rysach. Wszędzie też zarówno opinija publiczna jak i dobroczynność społeczna sprawą wielkomiejskiego żebractwa zajmuje się żywo spiesząc z zaradczemi środkami, wszędzie zbiorowa ta plaga budzi silne i ogólniejsze zajęcie. A u nas? I u nas nie pomijano jej bynajmniej. Przeciwnie, zajmowano się nią zawsze, podnoszono ją z rozmaitych punktów widzenia, wskazywano różnorodne środki. Mimo to jednak jak sama ta kwestyja nie przestaje być palącą, tak z drugiej znów strony i zabieranie w niej głosu nie może być zbytecznym. I to tym więcej, gdy jak wiadomo powszechnie, proletaryjat uliczny nietylko że nie zmniejsza się, lecz przeciwnie względnie do ludności Warszawy wzrasta on w anormalnym stosunku.

Z tego zapatrując się punktu i my czujemy się niejako w obowiązku, na tę zwłaszcza ostatnią okoliczność zwrócić bliższą nieco uwagę i pomijając inne kategoryje tutejszego ubóstwa zająć się na teraz pokrótce pauperyzmem ulicznym.

O cóż nam tu idzie głównie? Otóż, oile ramy artykułu pozwolą, chcielibyśmy:

1. Zastanowić się nad przyczyną zwiększania się liczby ulicznego żebractwa w Warszawie—i

2. Wskazać zasadniczy w tym względzie środek zaradczy.

Cały proletaryjat warszawski dzieli się na dwie najogólniejsze kategoryje: miejscowy i napływowy, a niezależnie poniekąd od obu tych kategoryj, istnieje nadto w Warszawie i istnieje w coraz silniej wzrastającej liczbie proletaryjat uliczny dziecięcy. Dla pierwszego istnieją i funkcyjonują miejscowe instytucyje filantropijne, działają tu również opiekunowie cyrkułowi i t. d. A nie wchodząc, w tym miejscu oile środki te osiągają swój cel w zasadzie t. j. oile przyczyniają się one do zmniejszenia miejscowego rzeczywistego i wstydzącego się żebrać ubóstwa, zaznaczyć jednak możemy, że bądź co bądź biedni warszawscy znajdują jakikolwiek racyjonalny punkt oparcia i do pewnego stopnia faktyczną, filantropijną pomoc. Inaczej atoli rzecz się ma z kategoryją ubóstwa drugą, wytwarzającą w największej części żebractwo uliczne, a które w tej właśnie chwili mamy głównie na myśli. Proletaryjat napływowy nieznajdując (i naturalnie słusznie) stałego przytułku w instytucyjach dobroczynnych, wylega na ulice i... żebrze.

Przedewszystkim jednak nasuwa się pytanie skąd mianowicie proletaryjat ten rekrutuje się głównie, i dlaczego tu, to jest do Warszawy napływa? Chcąc przyjść do odpowiedzi praktycznej, musimy na chwilę opuścić Warszawę, a wyjrzeć na... prowincyją.

Pewne zmiany zaszłe ostatniemi czasy w ustroju naszych stosunków, postawiły naraz wiele rodzin bez... chleba. Odnosi się zaś to nadewszystko do klasy średniej urzędniczej i prywatnych oficyjalistów wiejskich. Większa np. część naszych obywateli ziemian, modyfikując obecnie sposób prowadzenia gospodarstw a przedewszystkim zmieniając dotychczasowy system ich administracyi pozbywa się wielu z swych wyręczycieli jak np. ekonomów, pisarzy prowentowych i t. p. zastępując ich pracę pracą własną. Otóż większość, tego rodzaju jednostek niechcąc czy nieumiejąc jąć się *na miejscu* jakiegokolwiek zarobku, ciągnie do Warszawy w tej błogiej iluzyjnej nadziei, że tu i zajęcie odpowiednie jakoś prędzej się znajdzie, a nawet i byt się polepszy może. Taki więc np. ex-urzędnik czy ex-oficyjalista prywatny zbiera resztki zasobów i z liczną częstokroć rodziną sprowadza się do Warszawy. Nie-

ŚLADY ŻYCIA.

XI.

Tyle życia, ile... w czynie.

Fundusz na stypendyjum imienia Kopernika wzrasta—i wzrasta w szybszym nierównie niż dotychczas stosunku. Co zaś godnym tu jest niezaprzeczenie uwagi to, że w największej części napływa tu grosz wdowi, a obok tego, że w uczczeniu pamięci wielkiego ziomka przyjmują udział wszystkie bez wyjątku warstwy — wszystkie prawie stany — wszystkie sfery społeczne. Niedawno pisma nasze żywo podniosły fakt, że uczniowie gimnazyjum piotrkowskiego, na szczytny ten cel złożyli fundusz rs. 50, obecnie pospieszamy podzielić się wiadomością, *że młodzież kształcąca się w gimnazyjum gubernijalnym w Mitawie, przysłała na ten cel za pośrednictwem Redakcyi naszej, kwotę rs. 50*, oraz że robotnicy i rzemieślnicy jednego z pierwszorzędnych naszych przemysłowych zakładów — postanowili również między sobą zebrać na stypendyjum Kopernika odpowiednią kwotę. Fakty podobne, to najcenniejsze perły naszego społecznego życia; jak bowiem z jednej strony dowodzą one moralnego zdrowia ogółu—tak z drugiej stwierdzają niemniej że wśród ogółu tego istnieje i rozwija się poczucie szerszych, obywatelskich czynów — że wśród nadewszystko naszych warstw średnich, drgają żywo tętna myśli i uczuć, mogących tym pewniej krzepić i podsycać ducha chwili bieżącej, ducha *nauki i pracy.*

* * *

Jak już w swoim czasie donosiliśmy, fabryka Lilpopa i Rau (obecnie spółki akcyjnej) stworzyła niejako nowy u nas system zabezpieczania przyszłości robotników. Mianowicie, fabryka ta, wziąwszy pomoc lekarską na siebie, od sumy zarobkowej każdego robotnika, składa dłań pewien procent w kasie oszczędności. Otóż reforma ta znajduje już naśladownictwo ze strony innych tego rodzaju zakładów. — Oile bowiem wiemy, naczelnik warsztatów mechanicznych kolei terespolskiej, p. Krzyżanowski, ma wystąpić do zarządu tejże kolei z przedstawieniem, co do przyjęcia tegoż samego systemu, który, zdaniem naszym, ze względów czysto praktycznych, wyżej nierównie stoi od świeżo zaprowadzonego na kolei wiedeńskiej, systemu alimentarnego. To też życzylibyśmy bardzo, by zamiar p. K. nie odkładany, jak się zwykle u nas w takich razach dzieje, ad *meliora tempora* — przeszedł corychlej w życie.

* * *

Kto zna bliżej nieco życie naszej małomiasteczkowej biurokracyi, ten wie dobrze w jakich zacieśnionych, życie to, zamyka się ramach. Biuro i... knajpa,—knajpa i biuro, oto dwie stereotypowe stacyje, które z dnia na dzień przebiega małomiejski, dajmy na to, jakiś referent, czy kancelista. W ogólności kategoryja ta prowincyjonalnych mieszkańców — po za zajęciami obowiązkowemi — z wyjątkiem plotek i zielonych stolików, nic już dla uprzy-

stety jednak dla nieuzdolnionych w żadnej gałęzi specyjalnej pracy następuje tu oile szybkie otyle smutne rozczarowanie. Wyczerpując ostatki zasobów, szuka się miejsca, poszukiwania te jednak trudno i niepomyślnie idą, widmo nędzy coraz groźniejszym się staje, przychodzi nadto choroba albo śmierć ojca czy matki, przecina nić bolesnej tej walki i pozostaje rodzina bez opieki, bez sposobu do pracy, bez schronienia i przytułku, która jeżeli nie chce umierać z głodu, co ma robić? Naturalnie zwiększa proletaryjat uliczny, a wstydząc się wyciągać rękę publicznie, żebrze jednakże, pod różnemi pozorami, że tak powiemy *pokątnie*. Obok atoli tego rodzaju napływowego ubóstwa, prowincyja dostarcza Warszawie znaczny jeszcze kontyngens żebractwa kategoryi innej. Każda gmina jak i każde miasteczko wytwarza z pośród siebie pewien procent jednostek czy to niezdolnych do cięższej pracy, czy też złych i zdemoralizowanych próżniaków. Są to słowem albo kaleki i starcy, albo też tak zwane włóczęgi „z dziada pradziada“ albo wreszcie indywidua wypuszczone z więzień. Otóż cała ta kategoryja pauperyzmu z jednej strony znana bliżej i najczęściej prześladowana przez ludność miejscową,—z drugiej zaś nieznajdująca tam jakiegokolwiek trwalszego punktu oparcia, ściąga całemi secinami do miast większych a nadewszystko do Warszawy, gdzie członków jej obecnie nikt nie zna, gdzie o jałmużnę nierównie łatwiej i gdzie nareszcie śmielej już nieco gnieździć się może. Wmiarę wzrostu ludności prowincyjonalnej, a braku czynników rozszerzających w odpowiednim stosunku pole zarobkowania i podnoszących oświatę, wzrasta i tej kategoryi proletaryjat miejscowy, wzrasta przeto i żebractwo uliczne warszawskie.

Że podobny stan rzeczy na moralną i materyjalną stronę Warszawy nie oddziaływa bynajmniej dodatnio zbytecznym byłoby dodawać. Przez napływ pauperyzmu prowincyjonalnego oile cierpi rzeczywiste ubóstwo miejscowe, oile szerzy się przeto ogólna wielkomiejska nędza, o tyle znów pauperyzm ów napływowy stykając się tu z pracującą ludnością uboższą, po szynkach, gospodach i t. p. wywiera na tę ostatnią wpływ fatalny, demoralizujący.

W obec tych względów bliższe i czynne zainteresowanie się ulicznym proletaryjatem Warszawy zdaje się być kwestyją palącą, która o środki zaradcze coraz głośniej woła, coraz głośniej się ich dopomina, grożąc w razie przeciwnym,szeregiem przestraszających następstw. Potrzeba tu słowem *czynnie* i corychlej radzić. Radzić... ale jak radzić i kto to tu przedewszystkim ma radzić? Nad tym zwłaszcza drugim pytaniem zastanawiano się u nas już niejednokrotnie i przychodzono do stereotypowego wniosku, że Warszawa względem proletaryjatu ulicznego, czyli właściwie (bo w największej części) prowincyjonalnego nie jest obowiązaną bynajmniej. Czyżby tak miało być w istocie. *Nieinaczej:* odpowiada nam na to najzwyczajniejsza choćby logika. Gmina czy miasto wychowuje, przedewszystkim swych członków, produkuje z pośród siebie pewien procent starców i kalek, pewien procent fizycznego niedołęstwa czy moralnej zgnilizny; do gminy więc czy miasta należy nad swemi tego rodzaju członkami, moralna i materyjalna opieka. Do miejscowych więc tych ognisk, należy czynna inicyjatywa i bezpośrednia w tym względzie pewność. Tak też dzieje się w krajach innych jak np. w Prusach, Anglii, Belgii i t. d. Zasada powyższa zresztą zdaje się być prostą i logiczną, a jednakże u nas jak dotychczas w zupełności niemal pomijaną zostaje. Gminy i miasteczka—swych ubogich, cały swój prawie proletaryjat narzucają miastom większym a w szczególności Warszawie. Zachodzi pytanie dlaczego? Otóż objaśnijmy to codziennie powtarzającym się a jasno rzecz malującym przykładem. Schwytanego np. na włóczęgostwie lub jakiejś drobnej kradzieży, bez dowodów legitymacyjnych, żebraka, władza czuwająca nad porządkiem, odsyła do miejsca jego stałego zamieszkania. Przytransportowany atoli włóczęga taki do gminy lub miasteczka, nie znajdując dorażnego jakiegoś zajęcia, a co najważniejsza schronienia, błąka się przez dni parę zagląda tu i ówdzie i wszędzie odepchnięty zostaje, wszędzie jako podejrzanego, strzegą się i unikają. Cóż więc ów żebrak w takiej sytuacyi ma robić? Naturalnie wraca do Warszawy gdzie ginąc *w masie* proletaryjatu, żebrze, dopóki nie zostanie ujętym i „odtransportowanym“, poczym znów wraca i znów eksploatuje miłosierdzie warszawskie i t. d. jedna i ta sama historyja powtarza się wkółko. Powtarzanie się zaś jej takie oile jest widocznym i ustawicznym o tyle samo przez się dowodzi nader jasno, że jest ono niczym innym jak tylko prostym wynikiem braku stałych miejsc przytułku po gminach i miasteczkach dla miejscowego ubóstwa. Niejeden z członków prowincyjonalnego pauperyzmu jąłby się jakiejś stosownej dla jego sił i wieku, pracy, niejeden zamiast być ciężarem społeczeństwu stałby się jego produkcyjnym i względnie pożytecznym czynnikiem, gdyby miał stałe i pewne schronienie, gdyby miał słowem jakikolwiek przytułek; inaczej chcąc nie chcąc przyucza się do włóczęgostwa i... żebraczego chleba. Brak więc *domów przytułku* po wsiach i miasteczkach, brak czysto miejscowych filantropijnych instytucyj, któreby obok schronienia służyły za miejsce odpowiednich dla proletaryjatu zajęć (jak np. wyrabianie słomianek, łatwiejsze roboty koszykarskie, skubanie szarpi, darcie pierza, przędzenie i t. p.), brak powtarzamy instytucyj takich, jak z jednej strony stanowi główną przyczynę anormalnego wzrostu proletaryjatu ulicznego w Warszawie, tak z drugiej znów usunięcie braku tego, czyli utworzenie po wsiach i miasteczkach, *domów przytułku i pracy* jest jedną z kwestyj z interesem zarówno samej Warszawy jak i całego ogółu najsilniej i najbezpośredniej splecionych. Bez tego rodzaju, instytucyj, w każdej wiosce czy mieścinie, czy w każdej chociażby parafii boląca rana proletaryjatu nietylko się nie załagodzi, lecz przeciwnie rozszerzać i zaogniać się będzie. Bez użycia tego środka wszelkie inne filantropijne wysiłki, wszelkie jałmużnicze datki i ofiary pozostaną zawsze tylko półśrodkami.

Co więcej to dziś właśnie, przy obecnej organizacyi gminnej i przy polepszającym się bycie drobnych posiadaczy włościan, utworzenie miejscowych „domów przytułku i pracy“ nie zdaje się bynajmniej zakrawać na zawczesną i idealną mrzonkę. Przeciwnie w ten sam sposób w jaki dziś powstają np. domy dla miejscowych szkółek i gminnych urzędów powstaćby mogły i domy przytułku dla miejscowego ubóstwa; w ten sam sposób ujrzećby je mogły u siebie zarówno wsie jak i partykularze. Tak zresztą jest już gdzieindziej, tak uorganizowana jest dobroczynność publiczna w krajach dbających o swój dobrobyt; dlaczegóż więc organizacyi podobnej nie moglibyśmy widzieć u siebie. I potrzeba tu tylko... ba... rzeczy najważniejszej bo inicyjatywy bezpośredniej ze strony tak wioskowej jak i małomiasteczkowej inteligencyi. Czy więc inicyjatywa taka się znajdzie? Nie chcemy ani na chwilę wątpić

---

jemnienia i rozszerzenia skali swojego życia, nie chce, czy też nie może widzieć. Dziś wprawdzie i tutaj już zachodzą pewne, postępowe reformy i w tej długo zacieśnionej sferze, —bezmyślne bezykowe, czy plotkarskie zebrania, zastępowane są coraz częściej jakimś np. amatorskim teatrem, muzykalnym wieczorkiem czy nareszcie popularnym odczytem; niemniej jednak system chińszczyzny przeważa tu znacznie i większość małomiejskiej intelligiencyi, wegetuje sobie po dawnemu, — nie znajdując jakoby możliwych... dróg wyjścia. A jednakże, że drogi takie, dla tych którzy chcą i umieją ich szukać, istnieją zawsze i wszędzie świadczy, między innemi, następujący przykład. W miasteczku Nowo-Mińsku, jeden z urzędników miejscowego biura powiatu, pan *Józef Jakowicki*, po za godzinami biurowemi, zajmuje się pszczolnictwem. Zacząwszy od dwu uli zwyczajnych, p. J. przyszedł, w przeciągu lat kilku, do posiadania pasieki złożonej z przeszło sześćdziesięciu uli najnowszego systemu. Pasiece tej, odwiedzający ją umyślnie znawcy, oddają jednozgodne pochwały, zaliczając jej urządzenie i prowadzenie do prawdziwie wzorowych. W rzeczy bo też samej, p. J. pracy swej w tym kierunku oddaje się z istotnym zamiłowaniem, a idąc wytrwale naprzód, doszedł do wielu specyjalnych ulepszeń, z których niektóre ogłosił w obszernym artykule p. t. „O wyborze ula“ drukowanym w *Gazecie Rolniczej* (w roku 1872). Rzecz prosta iż niezależnie od zadowolenia wewnętrznego, jaki daje każdy pomyślny rezultat wytrwałych i samodzielnych usiłowań p. J. z pasieki swojej osiąga już dziś znaczne stosunkowo, bo przynoszące po kilkaset rubli rocznie zyski materyjalne. Powszedniego może na pozór znaczenia fakt ten, wydaje się nam jednak ze wszech miar zasługującym na podniesienie go publiczne. Najprzód bowiem, posłużyćby on sam przez się winien —za żywy przykład małomiasteczkowej biurokracyi,—w jaki to sposób możnaby sobie życie uprzyjemnić i byt polepszyć, a powtóre, pragnęlibyśmy gorąco by tak ważna gałąź produkcyi krajowej jaką stanowić może u nas pszczolnictwo — znajdowała coraz szersze koło chętnych i wytrwałych pracowników. Dziś np. setki naszych księży jak i nauczycieli wiejskich—w pewnych zwłaszcza porach roku nie wiedzą „co mają z czasem robić“ i jak go spożytkować. Czyżby więc cała ta grupa jednostek, nie mogła również zamiłować — tak wdzięcznej pracy:—*pszczolnictwa?*

* * *

„Gazeta Handlowa“ (w Nr. 53) pomieściła wyjęty z pism niemieckich arcy-ważnej treści artukuł p. t. *Pies księcia Bismarcka.* Otóż ten pies... ten pies... towarzyszy księciu Bismarckowi na posiedzenia sejmowe... ale tylko do wejścia do parku. Tam kanclerz staje, wymawia słowo... i... pies się wraca — co zaś wszystko dla czytającej naszej publiczności wogóle, a dla „G. Handlowej“ w szczególności, przedstawia nader ważny interes. I niechże tu jeszcze kto powie, że specyjalny nasz organ handlowy nie zajmuje się sprawami handlu.

* * *

„Wiek“ dowiaduje się z najpewniejszego źródła, że trzech obywateli ziemskich i miejskich ze znacznym kapitałem, zamierzają w tych czasach otworzyć w Warszawie dom bankiersko-komisowy. — Jeżeli wiadomość ta potwierdzi się w praktyce, będzie to jeden więcej dowód, że w obywateli-ziemian naszych, wstępuje nowy prąd życia, że i w tej mianowicie sferze rozwija się ów duch przedsiębierczości, którego u nas niestety tak niewiele — a tak wiele potrzeba.

* * *

Dowiadujemy się, że zarząd kolei warszawsko-wiedeńskiej, myśli o zaprowadzeniu pewnej reformy co do mieszkań swych urzędników i urzędników i cyrkularzy...

Dziś sprawy ogólniejszego znaczenia i na prowincyi nareszcie poczynają budzić żywszy niż dotychczas interes; sprawy np. stowarzyszeń, straży ogniowych, kółek rolniczych i t. d. agitują się coraz silniej i szerzej a czyżby kwestyja podniesiona w tej chwili przez nas, kwestyja ograniczenia rozlewu proletaryjatu, kwestyja gojenia najdotkliwszej rany społecznej miała być mniej szczęśliwą?

Obok nakoniec powyższych niemniej wreszcie, a kto wie czy nie najwięcej palącą, przedstawia się kwestyją—kategoryja warszawskiego proletaryjatu trzecia, jaką stanowi *proletaryjat dziecięcy*.

Ktokolwiek w życiowe stosunki Warszawy wpatruje się bliżej, ten przyzna niewątpliwie, że w ciągu ostatnich lat paru, proletaryjat ten przybrał niepraktykowane przedtym rozmiary i nieznane również postacie. Pewien procent dzieci pozbawionych wszelkiej opieki i rzuconych na pastwę ostatecznej nędzy, nędzą raczej wpędzonych w szeregi ulicznego żebractwa, a obok tego pewna liczba tak zwanych „piaskarzy“ stanowiły niegdyś cały niemal kontyngens dziecięcego proletaryjatu. Dziś atoli, rzecz ta w nierównie jaskrawszych uwydatnia się barwach; dziś nietylko że zwyczajne żebractwo dziecinne rozlewa się szerzej, wylegając na ulice w coraz większej ilości, lecz nadto mnóstwo spotykać się daje tego rodzaju proletaryjatu upozorowanego przeróżnemi formami *chwilowych* jakoby zajęć. Jak obecnie różnego wieku dzieci nietylko roznoszą i sprzedają piasek, lecz nadto coraz większa ich liczba w lecie np. sprzedaje bukieciki, w zimie zbiera kości i gałgany, część pewna robi poszukiwania w śmietnikach, a część jeszcze trudni się (!?) przywoływaniem dorożek na dworcach kolei żelaznych; znaczna również liczba roznosi pisma i t. d. i t. d. Cały ten zastęp przyszłych żywotnych sił społeczeństwa żyjąc w otoczeniu nędzy i wszelkich demoralizujących czynników stanowi zarazem zastęp kandydatów do... osad rolnych. Jeżeli zaś powtórzymy raz jeszcze, że zastęp ten co chwila, rzec można się zwiększa, to zgodzić się naturalnie musimy, że przedsięwzięcie tu odpowiednich środków zaradczych staje w rzędzie najważniejszych potrzeb chwili bieżącej. Nad środkami atoli temi, nad sposobami raczej ograniczenia wzrostu dziecięcego proletaryjatu ulicznego nie będziemy rozwodzić się tu zbytecznie. Przeciwnie, wnikając w sam rdzeń, wzrost ten, wytwarzającej przyczyny, natrafimy tym samym na zasadniczy punkt owych właśnie zaradczych, czy też łagodzących środków. Gdzież więc przyczyna ta najprzeważniej spoczywa“ Otóż widzimy ją mianowicie w dzisiejszej zmianie stosunków w sferze rzemieślniczej pracy. Praca mianowicie ta, praca przy warsztacie, przedtym lekceważona i pogardzana dziś zyskując coraz szersze uznanie ściąga zarazem ku sobie, coraz większą liczbę młodzieży ze sfer zamożniejszych. Młodzież tej kategoryi wstępuje do warsztatów, uczy się rzemiosł i za naukę *płaci;* a ta oto *zapłata* rosnąca w progresyjnym stosunku, stanowi właśnie ów rdzeń poszukiwanej tu przez nas przyczyny wywołując bodaj czy nie w największej części dzisiejszy wzrost dziecięcego proletaryjatu. Gdy bowiem możniejsi płacą i znajdują miejsce; biedni nie mogąc naturalnie dopełnić tego naczelnego warunku idą... żebrać. Jest to, oile prosta o tyle nieubłagana logika następstw, logika pewnych nagłych a jak w tym razie, bądź co bądź nader pożądanych zwrotów w stosunkach pracy społecznej. Czy jednakże logiki podobnej złagodzićby nie można. Czy raczej ów dzisiejszy zastęp dziecinnego proletaryjatu nie mógłby się jak to dawniej bywało uczyć *bezpłatnie*. Otóż gdybyśmy w tym celu proponowali utworzenie osobnych tego rodzaju naukowych zakładów, wpadlibyśmy odrazu w zakres (jak u nas przynajmniej) idealnych zachcianek. Wolimy więc obstawać przy podnoszonym nawet już u nas projekcie praktyczniejszym: tworzenia oddzielnych rzemieślniczych naukowych warsztatów, czyli szkół każdego fachu. Tym bowiem tylko sposobem *opróżnianie miejsca* w warsztatach zwyczajnych, dając możność pomieszczenia się tam setkom młodzieży ubogiej, wpływałoby tym samym poniekąd już bezpośrednio na zmniejszenie dziecięcego żebractwa. Swoją zaś drogą i młodzież zamożniejsza, ucząc się naówczas w innych już warunkach, ucząc się systematycznie skorzystałaby niemniej. Skorzystaliby tu słowem zarówno biedni jak i zasobniejsi; a w odpowiednim naturalnie stopniu podniosłaby się i korzyść ogólniejsza.

Jeżeli zresztą podobny warsztat naukowo-rzemiosłowy istnieje już jeden (stolarski pana Gaszczyńskiego) to czyż nie mogłoby ich znaleść się więcej? i czy tym sposobem dziecięcy proletaryjat uliczny nie mógłby na drodze przerażającego dziś swego rozlewu napotkać odpowiedniej tamy? Sądzimy, że w obec powyższych nie już filantropijnych, lecz czysto praktycznych względów coryehlej napotkaćby ją powinien; jak nie przypuszczamy niemniej, by i cała w ten sposób postawiona kwestyja warszawskiego proletaryjatu ulicznego, wogóle wydać się mogła komukolwiek opartą na fantazyjnych i urzeczywistnić się nie dających... wnioskach.

J. Jel....

BEZ OPIEKI

SZKIC POWIEŚCIOWY,

napisała

Maryja Szeliga.

(Ciąg dalszy).

— Sądzę—rzekł powoli — że ma zdolności, które należy rozwinąć. Przytym, jest ładną; i z czasem, gdy się uformuje, może być osobą przyjemną ze wszech miar!

— Lecz czy trzeba ją posyłać na pensyją? —pytała dalej wyroczni babka.

— Naturalnie. Inaczej zakłóciłby się porządek domowy!—Weźmiemy ją na egzamin, i zobaczymy co ona już umie.

— Umiem czytać po polsku i po francusku, umiem trochę historyi, i rozmówki! — pospieszyła wyrzec Emilka.

— Jeśli się przekonam, że tak jest istotnie, przyjmą cię do pierwszej klasy, a choć jest pora spóźniona powakacyjna, ja się o to postaram!

— A co do muzyki? jak sądzisz Makary! — ciągnęła dalej babka.

— Jeśli ma talent, uczyć!

— I rysunku?

— Nawet rysunku, i tańca i robótek kobiecych. Życzę sobie ją widzieć wykształconą!— dodał po pewnym namyśle. — Pamiętaj tylko Emilijo! nie hałasować, nie mówić głośno, nie dotykać sprzętów, mieć ręce czysto umyte i włosy uczesane, i słuchać babki i mnie we wszystkim!

Emilka kiwnęła główką i znów jej się na płacz zbierało. Ale babka wstała, syn dotknął ustami jej ręki i czoła siostrzenicy na dobranoc, i obie odeszły na lewo, gdzie obok sypialni babki, był mały, ładny pokoik, z białemi firankami, i sofką, przeznaczoną zastępować łóżeczko Emilce.

---

domość ta mimowoli, przypomina nam kolej warszawsko-terespolską. Jeżeli bowiem gdzie, to tu nadewszystko kwestyja mieszkań kolejników, z najżywotniejszej dla tych ostatnich przedstawia się strony. Przedewszystkim literalny brak, choćby tylko jakkolwiek znośnych, (t. j. niezbytecznie brudnych i cuchnących nor żydowskich) mieszkań na Pradze — zmusza znaczną część kolejnej służby mieścić się w Warszawie — a ten sam już warunek, nie potrzebuje komentarzy. Proszę bo sobie tylko wyobrazić średniego np. urzędnika, pobierającego 300 lub 400 rubli rocznej pensyi—który nietylko że z tej, jak na obecne czasy drożyzny, niezbyt pokaźnej kwoty, musi opłacić nędzny lokal w Warszawie,—lecz nadto musi on (jak np. kasyjerzy, telegrafiści, urzędnicy magazynowi i inni), po całodziennej, to znaczy dwunastogodzinnej pracy—brnąć po prazkim błocie i odbywać *w nocy lub o 5 rano*, parowiorstową podróż.—Wprawdzie okoliczności podobne, rujnujące byt i zdrowie — całego szeregu pracowników, w rachubę wielu szanownych panów prawodawców nie wchodzą; a jak nawet niektórzy z tych ostatnich utrzymują — wchodzić nie powinny — bo dziś przecież „za pieniądze można ludzi nabyć na własność;“ niemniej jednakże nie przypuszczamy, nie chcemy raczej przypuszczać, by i towarzystwo kolei terespolskiej, było tego samego zdania.—Przeciwnie wolimy wierzyć, że jeżeli mogło ono zdobyć się na dwa duże domy mieszkalne dla panów dygnitarzy — pobierających *wystarczające* płace—i niepotrzebujących zresztą zbyt wcześnie zasiadać przy biurowym stoliku — to tym więcej uwzględni i położenie tych (chciałem powiedzieć „białych murzynów“) którzy — nie mogąc wyżywić siebie i swych rodzin z homeopatycznych pensyjek— o 5 rano przychodzą—a o 12 w nocy schodzą... *ze służby*. Dziś zresztą zyski towarzystw kolei z każdą chwilą podnoszą się w górę, wartoby więc doprawdy by podniósł się także choć cokolwiek—i byt,—zyski owe wytwarzających —jednostek.

* * *

Od pewnego czasu pojawiają się w pismach liczne głosy, zachęcające młodzież naszę do przyjmowania płatnych i bezpłatnych miejsc praktykantów gospodarstwa wiejskiego. Że rolnictwo nasze, jeżeli kiedy to dziś zwłaszcza, potrzebuje jak najwięcej sił świeżych, potrzebuje jak najwięcej uzdolnionych pracowników a w szczególności ekonomów, rządców i oficyjalistów, to rzecz aż nadto jasna. Uczuwają to zresztą i sami posiadacze ziemscy, narzekając coraz bardziej na brak tej właśnie kategoryi pracowników wiejskich. Czy jednakże same te narzekania i owe teoretyczne zachęty mogą w tym względzie wywołać pożądany skutek? Zdaje nam się że nie. Odzywający się w tej kwestyi, skarżą się, między innemi, że młodzież nasza „wyraźnie stroni od rolnictwa jako od przemysłu wymagającego ciężkiej i wytrwałej pracy.“ Podług nas, młodzież niezamożna z wyższym czy średnim ukształceniem, stroniąc od rolnictwa a biorąc się natomiast do fabrycznego czy rękodzielniczego przemysłu, już tym ostatnim daje dowód, że nie omija rolnictwa „jako przemysłu wymagającego ciężkiej i wytrwałej pracy,“ lecz lęka się poprostu samych, pracy tej towarzyszących, czysto życiowych warunków, lęka się niezbyt uśmiechającej się tu dla niej... przyszłości. Przyznać bo trzeba, że jak dotychczasowy los znakomitej większości ekonomów i oficyjalistów wiejskich jest wcale nie do zazdrości. Młody np. człowiek po ukończeniu dwuletniej, dajmy na to praktyki, dostaje miejsce ekonoma i pobierając 50 do 90 rubli pensyi, obok nawet tak zwanej „ordynaryi,“ żyje... dosyć... nędznie. Nie to jednak—dopóki zdrowie służy i siły starczą. Do biedy się przyzwyczai (!) jak i do despotycznego częstokroć postępowania pana chlebodawcy także. Gorzej atoli gdy przyjdzie długa jakaś choroba, kalectwo czy nareszcie starość. Wtedy bowiem cóż takiemu oficyjaliscie po-

Babka pogłaskała ją na dobranoc i odeszła. Dziewczynka z początku obejrzała się ze strachem po pokoju—potym zapłakała wspomniawszy serdeczne, z matką i siostrą spędzane wieczory, i nakoniec rozebrała się, i zasnęła ze łzami, na białej pościeli.

Ale dzieci, tymbardziej żywego usposobienia, nie mogą się długo smucić, i Emilka po tygodniu ponurej rozpaczy, mimowoli, potym chwytała się na gorącym uczynku jakiejś wesołej, albo psotnej myśli. Egzamin powiódł się dobrze, i nasza bohaterka została przyjęta za wpływem pana Makarego na pensyją. Była z tego niezmiernie zadowolona, bo jej to obiecywało pewną rozmaitość, a nauki przychodziły do jej główki bardzo łatwo.

Po uśmierzeniu pierwszego smutku, żywość jej, potrafiła nawet w tak pustej, czczej i ciężkiej atmosferze, wzbudzić pewien ruch, odrobinę wesołości i nieporządku. Bo też babcia i wuj, byli tak nieznośnie porządni i systematyczni, że można było umrzeć z nudów, lub się zasuszyć jak nieśmiertelniki strojące obrazy nad łóżkiem babki. Emilka wkrótce przestała się bać wuja Makarego, tylko probowała go odzwyczaić od serwety, układania piramidy z gałeczek i innych uprzywilejowanych upodobań. Najczęściej próby okazały się niefortunne, ale Emilka była nad wiek roztropną dzieciną i w swojej małej główce miała już rozmaite pojęcia. Koleżeństwo na pensyi oswajało ją z życiem towarzyskim, i dlatego, mimo że babka nigdzie nie bywała i nikogo nie przyjmowała u siebie, gdy w pięć kwartałów po śmierci matki, siostry bliźniaczki znalazły się razem na święta Bożego Narodzenia u doktorów, Emilka była śmielsza, bardziej żywa i swobodna niż Lucia, która jednak miała dom, serdeczność i opiekę na równi z dziećmi doktora. Żona jego, typ tego co nazywamy poczciwością, chyba w nadzwyczajnych wypadkach unosiła się gniewem i była dla wszystkich, a tym samem dla Luci, w całym znaczeniu tego wyrazu, dobra! Nie mniej pieściła ją od własnych dzieci, ubierała, karmiła jednakowo i nawet dziewczynka nauczyła się ją nazywać „mamo.“ Emilka to usłyszawszy, była niezmiernie zgorszona i powiedziała Lucynce, że widać nie kochała tamtej mamy, która była ich prawdziwą, dobrą, ładną mateczką. Lucia się chciała bronić, ale Emilka nie przyjęła żadnego tłomaczenia, i poraz pierwszy od urodzenia obie siostry miały do siebie trochę żalu. Urazy te stopniały wkrótce w serdecznym uściśnieniu, jakie sobie, wspominając zmarłą, dały na dobranoc. — „Pamiętasz...“—zaczęły obie—i uściskały się płacząc. Biedne sierotki, instynktownie czuły, że oprócz siebie, nie mają nikogo prawdziwie ich kochającego na świecie.

W rok potym, różnica charakteru i wychowania, odznaczała się w nich jeszcze bardziej. Emilka dostała z pierwszej klasy nagrodę, Lucia zaczęła poglądać z bojaźnią na tak mądrą osobę i wyznała przed Magdzią, córeczką doktora, że nie umie się bawić z siostrą. Emilka to posłyszała i miała łzy w oczach przez cały ciąg wieczoru. Z babką i wujem Makarym, szło jej coraz lepiej. Już teraz nikt tak dobrze nie tasował kart, cerował chusteczek i smarował bułek masłem cieniuteńko, jak Emilka. Dziewczę zawojowało nawet starą Maryjannę i nie mniej od niej złośliwego pinczera, który ją polubił widocznie. Zato ona nie lubiła nikogo, babka i wuj byli dla niej zawsze obcemi, otoczenie nudnym i prawie nieznośnym. Całą pociechę stanowiła nauka, której się oddawała z zapałem, pamiętając na słowa matki i przepowiednią wuja Makarego, że może się stać ładną i przyjemną osobą. Pragnęła tego koniecznie! A wtedy—myślała sobie nieraz—wyprowadzę się od babci, pokocham kogoś... i mnie on także.... i.... pobieżemy się, a potym zobaczymy... Zupełnie tak jak było z mamą! tylko ja nie chcę być tak nieszczęśliwą jak mama! Mój Boże!...

I w tym punkcie dzieweczka zwykle modliła się serdecznie, aby ją Bóg nie zabierał tak wcześnie jak mamę i tatę. Ona chce żyć długo, jak rodzice Leonki.

Leonka była jej koleżanką i przyjaciołką z pensyi. Pokochały się serdecznie; obie nie miały przed sobą tajemnic, całowały się często i pisywały do siebie co godzina. Slicznie było patrzeć na te dziewczęta, gdy zawsze razem, siedząc na jednej ławce, ucząc się często z jednej książki, patrzyły na siebie jasnemi, niewinnemi oczyma. Przełożona pensyi, zauważyła tę przyjaźń nigdy nie zakłóconą, a że Leonka była córką zamożnej rodziny, a Emilcia najpilniejszą z uczennic, dawała je za wzór całej klasie, i dwie przyjaciołki, po każdym roku szkolnym, przywoziły do domu nagrody i pochwały. Im więcej stosunki z Leonką stawały się bliższemi, tymbardziej obojętniał stosunek między dwoma siostrami. Widywały się rzadko, trudno im było porozumieć się; Lucynka uczyła się także cokolwiek, lecz nie mogła wyrównać Emilce, nieśmiałość ją dziwna ogarniała, już nie tęskniła za siostrzyczką i obie nie postrzegły nawet, że iskra świętej siostrzanej miłości, codziennie przygasała w ich sercach.

W trzynastym, czternastym i piętnastym roku swego życia, panienki mają niesłychanie wiele tajemnic i gwałtowną chęć powierzania ich przyjaciołkom. Obie siostry miały każda taką powiernicę, Lucynka cichą i dobrą Magdzię — Emilka koleżankę, nadzwyczaj dowcipną i bystrą małą osóbkę. Babka tak była zaintrygowana częstym opowiadaniem wnuczki o tej ukochanej Leonce, że raz nawet odstąpiła od swego zwyczaju i oznajmiła Emilce, że pozwala jej kiedykolwiek przyprowadzić przyjaciółkę, a potym pójść do niej raz w ciągu tygodnia. Panienki skorzystały z tego z uniesieniem radości i stosunki stały się jeszcze ściślejsze. Nazywały się wzajemnie siostrzyczkami.

Piętnasty rok miała Emilka, gdy kończyła ostatni kurs pensyjonarskich nauk; jak słusznie przewidywał wuj Makary; wyrosła na bardzo ładną, miłą i wykształconą istotę. Grała na fortepijanie z umiejętnością i zrozumieniem zadziwiającym w tak młodym wieku, rysowała bardzo dobrze, tańczyła jak Terpsychora (jeśliś ją widział kiedy czytelniku, bo ja nie, tylko opierając się na tradycyi, używam porównania, na które w najgorszym razie przystać musisz). Na wieczorku u rodziców Leonki, gdzie się znajdowała, gwałtem wyproszona u babki przez całe familijne owej rodziny grono — wszystkich ogólnie zachwyciła, a najbardziej kuzyna Leonki, pana Albina, studenta z drugiego kursu uniwersytetu z wydziału nauk przyrodzonych. Ładny, wysmukły, biały i różowy paniczyk— bezustannie zwracał na nią powłoczyste spojrzenie szafirowych oczów z czarną rzęsą, i przetańczył z naszą bohaterką niezliczoną moc polek, galopad, mazurów i kontredansów. Powiedział jej przytym bardzo wiele uprzejmych frazesów: że nigdy z nikim nie tańczył tak wiele, że dzisiejszy dzień będzie dlań pamiętnym całe życie, i zakończył to spostrzeżenie wymową spojrzeń i westchnienia. Następnie, gdy go poproszono, aby wyręczając ciocię prezesową, zagrał walca dla amatorów tego tańca tyle powabnego— młodzieniec szepnął coś o przykrości porzucenia swego

---

zostaję? Ha... chyba tylko ucieczka do „serc litościwych“ chyba torba żebracza. Przyznajmy że perspektywa to niewesoła bynajmniej, a czy może ona na młodzież naszę, choćby nawet przy zacieśnionych widokach w innych gałęziach pracy, wywierać wpływ zachęcający, na to każdy, naturalnie bezstronny, odpowie sobie już łatwo. Niech więc, narzekający dziś na brak ludzi, panowie chlebodawcy pomyślą przedewszystkim o zreformowaniu dzisiejszego bytu licznych swych pracowników, niech pomyślą o zabezpieczeniu ich przyszłości, niech raz nareszcie dadzą inicyjatywę w utworzeniu od tak tak dawna projektowanego „Towarzystwa emerytalnego oficyjalistów wiejskich“ a reforma podobna stanie się najskuteczniejszym bodźcem zachęty, stanie się w każdym razie skuteczniejszą nad wszelkie, w najzacniejszym chociażby celu, wygłaszane teoryjki i nawoływania piśmienne.

* * *

Składnicy maszyn do szycia, jak zapewne wiadomo już czytelnikom, walczyli z sobą na zabój, walczyli zawzięcie, wydobywając cały arsenał polemicznych przycinków i walczyli... długo. Długo raczej mieli dobrą okazyją zwracać uwagę publiczną na swoje w ten sposób... reklamowane firmy. Nie chcąc być tyle złośliwemi, nie chcemy tym samym podejrzywać że w tym to ostatnim celu, przy najlepszej zgodzie prywatnej i wzajemnym porozumieniu się panów składników zawiązaną została między niemi, ta charakterystyczna, w swoim rodzaju, polemika publiczna, chociaż znów z takim zapałem zapowiadany a *niedoszły* „konkurs maszyn“ coś bardzo za taką tylko a nie inną tendencyją polemiczną przemawia. Wprawdzie i na skutek owego właśnie niedojścia konkursu nowa polemika się wszczęła; posypały się raczej nowe i wzajemne posądzania o chęć wyzysku, o blagę i t. d. Co do nas jednak nic nie widząc w całej tej sprawie jak *tylko blagę* usiłującą w błąd wprowadzać interesowaną tu publiczność, proponowalibyśmy w interesie tej ostatniej, nowy sposób utworzenia i urzeczywistnienia tyle, bądź co bądź, w obec upowszechnionego już dziś szeroko użycia maszyn, pożądanego konkursu. Wszakże te wszystkie rodzaje maszyn, jakie są obecnie w składach wzajemnie się reklamujących, posiadają niemniej i liczni prywatni ich nabywcy. Czyby więc ci ostatni, w interesie wyświetlenia tej zaciemnionej dziś, więcej niż kiedykolwiek, sprawy, nie zechcieli maszyn swoich, udzielić na nowy raczej rzeczywisty konkurs urządzony np. jak to już miało być w Towarzystwie Dobroczynności, a wktórym sumienni znawcy i specyjaliści, udziału swego nie odmówiliby zapewne. *)

* * *

W swoim czasie pisma nasze donosiły o podjętym tłumaczeniu cennego dzieła Haushoffera: „Lehr und Handbuch der Statistyk.“ Wiadomość ta dla interesujących się bliżej sprawami naszego piśmienniczego ruchu nie mogła być obojętną. Oile bowiem studyja w tej podstawowej dziś gałęzi nauk społecznych dla każdego pragnącego iść *naprzód* umysłu, stają się niezbędne, o tyle znów zupełny prawie u nas brak dzieł tego rodzaju, a nadewszystko brak podręcznika ujmującego obszerną naukę statystyki w jedną systematyczną całość, stanowił dla nieznających obcych języków niezwalczoną przeszkodę. Myśl więc przekładu rzeczonego dzieła, była nader szczęśliwą a samo dokonanie tłomaczenia myśl tę uwieńczyło rzeczywistą zasługą. To też z tym większą przykrością notować nam przychodzi wiadomość, że tłomacze tego znakomitego dzieła nie mogą, jak dotychczas, znaleźć nakładcy. Rzecz to tym dziwniejsza, że obok zwiększającej się wogóle rzutkości pojedyńczych nakładców, mamy przecież wyda-

*) W tej chwili dowiadujemy się że konkurs o jakim mowa, odbył się w dniu 15 b. m.

miejsca, tuż obok krzesła Emilki, i po uczynieniu zadosyć woli ogółu, wrócił natychmiast, prosząc jej w taneczne koło.

— Przez kogo ułożony walc który pan grałeś?—spytała panienka wśród tańca.

— Czyż podobał się pani?— odparł ze znaczeniem.

— Bardzo!

— Szczęśliwy autor ma zaszczyt tańczyć w tej chwili z najpiękniejszą tancerką, królową dzisiejszego zebrania!— mówił Albinek coraz śmielej, cisnąc dłoń dziewczęcia w swej ręce, starannie urękawiczkowanej w kolor palijowy.

— Któż to?—pytała naiwnie Emilka.

— Spojrz pani w lustro! Oto oni—para najszczęśliwszych śmiertelników — wyrzekł pompatycznie, zadowolony ze swej wymowy Albinek. Łatwo pojąć, że choć Emilka była rozsądną, dowcipną i żywą—sentymentalno-śmieszne wyznanie młodzieńca, mającego tak piękne oczy i talent kompozycyi walców — przytym hołdy raz pierwszy jej składane — wszystko odurzyło główkę i rozbudziło wyobraźnię podlotka do najwyższego stopnia! Przyczyniła się do tego niemało Leonka;—w połowie balu, gdy wyszły na chwilę poprawić sobie ubranie, przyjaciółka uściskała naprzód ją kilkakroć, a potym szepnęła do uszka komplement, z którego się wywiązała następująca rozmowa:

— Jesteś prześliczną! moja Milciu złota!

— Żartujesz kochanie!

— O wcale! Powiedziałabym ci coś — ale się boję!

— Mów droga... jeśli mię kochasz!...

Nastąpiły uściski i zaklęcia—wreszcie Leonka wyszeptała z miną poważną i tajemniczą:

— Albinek zakochał się w tobie!

— Naprawdę?!

— Tak! Od pierwszego wejrzenia! Wiedz—wyznał mi, że... że jesteś zachwycająca!

Emilka zarumieniła się po uszy— następnie westchnęła. Serduszko poraz pierwszy uderzyło jakoś dziwnie w piersi.

— A tobie on podobał się — badała Leonka.

— Eh! nieuważałam! — mruknęła nieco zmieszana Emilka.

— Oj! filutko! Już ja wiem dobrze co to znaczy!—zaśmiała się koleżanka— znam ja się na tym! przechodziłam coś podobnego!—dodała z minką doświadczonej osoby.

— Doprawdy?—rzekła zdziwiona Emilka— opowiedzże mi! moja najdroższa!

Leonka się wahała — nakoniec po wielu nowych całusach i zaklęciach, wyznała przyjaciółce, że jest zakochana w koledze Albinka, czarnookim Józiu, który ją również uwielbia nad wszystko! Józio jest ubogi, ale ona będzie mu wierną i gdy skończy pensyją, a on uniwersytet, pożenią się niezawodnie! Emilka była rozczulona — i gdy po skończonym baliku wróciła do babki — opowiadanie przyjaciółki, walc, ładny chłopiec, projekta przyszłości — długo wirowały po głowie dziewczęcia i wstrząsały serduszkiem, nawet we śnie niepokojąc dziwnemi obrazy.

Nazajutrz przy śniadaniu była bardzo roztargnioną — nalała pinczerowi kawy czarnej zamiast mleka i zapomniała wujowi Makaremu posmarować bułki. Babka pokiwała na to głową:

— Coś tobie ten taniec naprawdę w głowie zawrócił! Już ja to nie pozwolę więcej takich wycieczek! Nie lubię gdy panienka bywa bez opieki.

— Istotnie — przyświadczył wuj Makary— Emilija jest w wieku, który, dla którego, w którym...

— Pamiętam dobrze gramatykę i odmiany wszystkie! — podchwyciła Emilka — myśląc przytym: Jacy też oni nudni i nieznośni!...

Co prawda, miała słuszność. — Babka była dewotką, pan Makary uosobioną machiną biórową, pedantem nad wszelkie wyobrażenie o pedantyzmie! Rzekłbyś że się urodził ze wszystkiemi narowami starego kawalera. Mimo wykształcenia i uczciwości znanej — był on pośmiewiskiem wszystkich co go znali. Na szczęście jego, miał tak dobre o sobie rozumienie, tak wygórowaną próżność—że nigdy tego nie zauważył, i był z siebie zadowolony. Emilka dowiedziała się jednak, że wuj Makary, przed pięcioma laty, starał się o sędziankę, dostał odkosza, i od tej chwili zerwał wszystkie stosunki towarzyskie. Chowała tę broń na przypadek, gdyby kiedy potrzebowała zemścić się, lub przekonać o nieloiczności twierdzeń wuja Makarego, któremu lubiła czasem niewinnie dokuczyć. — W dalszym ciągu owej rozmowy, pan Makary, zgorszony wybrykiem Emilki rzekł:

— Nie mówiłem o gramatyce! Szukałem wyrażenia właściwego no określenie pory twego życia.

— Na tym baliku, widać uczą młode panienki impertynencyi!—wtrąciła babka.

— Na baliku, bawią się wybornie! Oto, szkoda że babcia ani wuj nigdzie nie bywają! —odważyła się wymówić Emilka.

— Co ci się śni!—zawołała babka.

— Nie życzę sobie towarzystwa!—wyrzekł wuj Makary—a i tobie, nie przynosi jak widzę wielkiej korzyści. Jesteś bladą, masz oczy podsiniałe.

— Języczek wprawiony w gadaninę bez sensu!—dodała babka.

— Ludzie są dla nas najgorszym towarzystwem! — zaczął sentencyjonalnie wujaszek. Emilka się oburzała.

— Więc lepsze towarzystwo pinczera lub papugi!—zawołała gniewnie.

— Nie znasz się jeszcze na tym!—odezwała się babka.

— Uj! ta sędzianka! ona wszystkiego złego narobiła! — szepnęła Emilka, będąc przekonaną o tępym słuchu babki. Ale pan Makary miał wyborne a niepospolitych rozmiarów uszy, i młoda psotnica, liczyła na wrażenie jakiego będzie świadkiem. Nad wszelkie spodziewanie pan Makary zamiast się gniewać, wytrzeszczył tylko swe płowe źrenice, wpatrzył się w Emilkę i rzekł:

— Skąd to wiesz?

Siostrzenica milczała zmięszana. Rumieniec oblał twarzyczkę, lękała się skutków swego zuchwalstwa, jak ptaszę, gdy się z gniazdka zbytecznie wychyli—po raz pierwszy posunęła się po za zwykły obręb rozmowy z wujem.

(d. c. n.)

KREW i JEJ KRĄŻENIE W CIELE LUDZKIM.

„Długo poświęcałem sie naukom oderwanym:— powiada Pascal—dziwiło mnie to, że tak mało spotykałem ludzi, z któremiby można było o nich pomówić. Kiedy zacząłem badać samego człowieka przekonałem się że nauki oderwane są o wiele dalsze od niego, i że poświęcając się im, więcej się oddaliłem od swej pierwotnej natury niż ci, co się niemi wcale niezajmowali. Przebaczyłem im to. Spodziewałem się jednak, że przynajmniej w badaniu człowieka znajdę sobie towarzyszy, ponieważ ono dotyczy samego człowieka. Za-

---

wcę, że tak powiemy, hurtowego wydawcę potentata... mamy spółkę *wydawniczo-księgarską*. O tej ostatniej przecież tyle u nas i na rozmaite już tony wyśpiewano, pisząc nawet o jej narodzinach sążniste artykuły *„wstępne."* Czyby więc nie czas już było, by spółka pozwoliła nam nareszcie powiedzieć coś przecież o swej działalności *praktycznej* by, między innemi, pozwoliła nam np. niezadługo doniesie że dzieło Haushoffera wyda swoim nakładem?

* * *

Kwestyja specyjalnego kształcenia naszej rzemieślniczej młodzieży należy do spraw niewątpliwie najżywotniejszych. Jak dotychczas atoli, mimo całej swej doniosłości, nie zyskuje ona szerszego i racyjonalnego uwzględnienia w praktyce, i nie wchodzi na drogę pomyślnego jej rozwiązania. Młodzież nasza do rzemiosł się garnie, lecz też zarazem dążność ta jej tyle pożądana, rozbija się, w znacznej stosunkowo części, o fizyczne i niepokonane przeszkody. Jedną zaś z takich przeszkód i przeszkodą rzec można kardynalną, jest brak odpowiednich naukowo-rzemiosłowych zakładów. Wprawdzie zapłaciwszy 100 do 200 rubli rocznie, można znaleźć miejsce w tym lub owym warsztacie i odbyć „terminatorską" naukę, lecz też właśnie ów osławiony system „terminowania" nie służy tu bynajmniej za bodziec zachęty i rzeczywistego postępu rzemiosł. Co więcej to płaci się tu zazwyczaj nie za naukę, lecz za samo pozbycie się owych „przejść" terminatorskich. Wśród takich okoliczności nieobojętną powinna być wiadomość że jeden z tutejszych pp. ślusarzy zamierza przy swoim zakładzie urządzić *oddzielny warsztat naukowy*, na wzór istniejącego już u p. Gaszczyńskiego warsztatu naukowo-stolarskiego. Oby więc myśl ta stała się corychlej czynem i oby podobnych szkół fachowych przybywało nam więcej.

* * *

Dnia 11 Marca p. Dziewulski wypowiedział pierwszą połowę swej prelekcyi *na dochód osad rolnych*. „O telegrafach elektrycznych." Wyjawiwszy we wstępie co rozumieć pod wyrazem telegraf i jak różnorodne mogą być jego gatunki, wykazał że najwłaściwszym do użytku powszechnego jest telegraf elektryczny. Następnie przedstawił pokrótce historyją doskonalenia telegrafów tego rodzaju, wykazał że nie można użyć do nich elektryczności statystycznej, dla niepewnego działania, i że najodpowiedniejsza jest elektryczność dynamiczna, jako mniej ulegająca wpływom zewnętrznym. Wyłożywszy różnicę jednej i drugiej elektryczności i opisawszy kilka stosów, prelegent przeszedł do udoskonaleń w przesyłaniu i odbieraniu depeszy, wykazał więc, że tylko linija jedno-drutowa, oraz przyrząd magnetyczny mogą być praktyczne w powszechnym użyciu. Odczyt zakończony został opisem aparatu na którym odczytuje się depesza z ruchów igiełki magnesowej, przenośnika Wheatstona oraz przyrządu Morse'a samodzielnie piszącego umówione znaki. Doświadczenia dobrze objaśniały wykład, Odczyt ten był może najlepszy ze wszystkich odczytów p. Dziewulskiego, gdyż prelegent uwzględniwszy rady recenzentów i wymagania publiki mówił żywo, bez zmuszania swego głosu do monotonności, którą się poprzednie jego odczyty odznaczały! Uwzględnienie tego zewnętrznego warunku bardzo wpłynęło na wzmocnienie wrażenia, które, dobra treść odczytu wywarła na umysłach słuchaczy.

* * *

Kielce, 9-go marca 1874 r.

Od chwili mej ostatniej z wami pogawędki, szczegółów do wyczerpującej korespondencyi zebrało się niewiele; zdobyta zaś wiąska danych zgoła mię niezadawala, bo nie wystarcza na ułożenie charakterystycznego obrazu, któ-

wiodłem się. Ludzi, którzyby się zajmowali badaniem człowieka jeszcze mniej niż matematyków. — Jakkolwiek z biegiem czasu zmieniły się już nieco okoliczności, zarzut ten jednak, postawiony przez sławnego filozofa i w obecnej chwili słusznie do wielu z nas zastosowany być może, chociaż, biorąc ogólnie, łatwiej byłoby w obecnym czasie znaleść Pascalowi towarzysza pogawędki, nie napotkałby ich jednak na każdym kroku. Dziś bowiem, niestety, wszędzie niemal napotykamy zwolenników niekosztownych wędrówek po ubogiej w rzeczywiste korzyści krainie marzeń i przesądów, a obawiających się zejść na urodzajną lecz mozolną niwę faktów i rzeczywistości.— Niech to wystarczy do wytłomaczenia pobudek, jakiemiśmy się kierowali przy pisaniu niniejszego artykułu.

Niech sobie czytelnik wyobrazi, że potrzebuję opisać bardzo złożoną maszynę zawiłej wewnątrz budowy, która podczas działania przyrządu powinna się znajdować w szczelnie zamkniętym pudle, ażeby się nie zanieczyścić nie zardzewić i nie uledz zepsuciu. Dalej niech sobie czytelnik wyobrazi, że maszyna ta wprowadza się w ruch nietylko mechanicznemi środkami, ale również i rozmaitemi chemicznemi czynnikami, jakie się wewnątrz niej znajdują. Ażeby dać dobre wyobrażenie o tej maszynie, zmuszony będę opisywać każdą część oddzielnie, przedstawiać je w przecięciu; wyjmować z niej oddzielne koła, rozpatrywać chemiczne związki, słowem zmuszony będę rozerwać tę łączność, od której zależy prawidłowe działanie całego przyrządu. Wówczas kiedy słuchacze niecierpliwiąc się, wymagać będą ogólnego poglądu idei przyrządu—opisujący zmuszony będzie mówić im o działaniu tego lub owego bloku, o własnościach tego lub innego kwasu. W takim właśnie trudnym położeniu znajdujemy się obecnie, mając zamiar podać w formie przystępnej opis działalności organizmu człowieka. Zapewne żadna maszyna nie może nas tak interesować jak własny organizm, ale też żadna zawiłością budowy swojej nie może się równać z ustrojem zwierzęcym. Nadto spotykamy jeszcze na drodze badania przeszkody na pozór nie do zwalczenia. Chcemy widzieć budowę maszyny (naszego ustroju) w chwili jej działania —a to jest prawie niemożebnym. Zaledwo sprobujemy w jakikolwiekbądź sposób podnieść zasłonę i rzucić ciekawe spojrzenie na wewnętrzną budowę, a przekonywamy się, że ta wewnętrzna budowa została zmienioną—harmonija znikła i my zmuszeni jesteśmy w umyśle dopełnić jej obrazu.

„Blut ist ein ganz besonderer saft“ powiada Mefistofeles do Fausta i ten posłuszny żądaniom swego przewodnika podpisuje krwią własną podany mu cyrograf. W wiekach średnich cyrografy takie, jeżeli mamy wierzyć legendom, zdarzały się bardzo często i zwykle były podpisywane krwią co właśnie nadawało im to tajemnicze znaczenie. W dalszej przeszłości książęta dwu ludów zawierający pokój albo układ jaki, zwykle mięszali swą krew z winem, które wypijali na cześć swego pojednania. Krew niewiniątek używaną była przez czarodziei do odgadywania przeszłości, a przez alchemików do przygotowywania elixiru życia. Krwią ofiarnego bydlęcia oblewali siebie Rzymianie chcący oczyścić się z grzechów. Dotychczas jeszcze bardzo często używamy wyrażeń, świadczących o doniosłym znaczeniu, krwi, naprzykład: szlachetna krew, gorąca krew etc. Wszystko to dowodzi że ludzie instynktowo rozumieli wielkie znaczenie krwi, jakkolwiek nie pojmowali na czym to znaczenie polega. — Otóż postaramy się opowiedzieć, z czego się krew składa, jakie jej rzeczywiste znaczenie, i jak się ze swego zadania wywiązuje.

Któż nie zna krwi, albo któż jej przynajmniej nie widział? Któż nie wie, że jest to płyn mniej lub więcej czerwony, mniej lub więcej gęsty? Jeżeli jednak ukłuwszy się w palec szpilką, wyciśniemy kroplę krwi i położymy takową pod mikroskop, a nakryjemy ją cieniutkim szkiełkiem; to ujrzymy ogromną ilość krążków czyli raczej kulek żółtego koloru. Są to tak zwane *ciałka krwi*. Pływają one w zupełnie prawie przezroczystym bezbarwnym płynie, zwanym *osoczem*. Skądże pochodzi, zapyta czytelnik, czerwona barwa krwi, jeżeli i płyn przezroczysty i ciałka krwi zaledwo jasno żółtawe. Zapewne—wygląda to trochę dziwnie, a jednak tak jest rzeczywiście. Wszak i woda w małej ilości wydaje nam się bez koloru, a w wielkiej ilości np. w rzekach, jeziorach, przedstawia nam odcień niebieskawo-zielony: i powietrze jest również bezbarwnym, a przecież lazur nieba jest tylko powietrzem,—Tak więc patrząc na kropelkę krwi, zwróćmy uwagę na to, że wniej leżą tysiące takich jasno-żółtawych kulek. Tak samo jedna kropelka krwi wydaje nam się jasnoczerwoną a szklanka cała krwi wyda nam się daleko ciemniejszą. Ciałka te krwi są nadzwyczajnie malutkie. I rzeczywiście Lewenhok, który pierwszy na nie zwrócił uwagę, powiada, że są to cząstki tak małe iż jeżeli położymy 100 takich ciałek obok siebie to rząd ten jeszcze nie będzie mógł wyrównać średnicy zwyczajnego ziarnka piasku.— Podług nowszych dokładniejszych wymiarów, wielkość takiego ciałka równa się 0,006 milm. średnicy, tak, że sześcienny milimetr krwi zawiera ich do 5,000,000, u mężczyzny i do 4,500,000 u kobiety. — U wyższych zwierząt wielkość tych ciałek jest mniej więcej jedna i ta sama bezwzględu na wielkość samego zwierzęcia, tak że malutka muszka nie różni się pod tym względem od tak znacznie większego od niej konia. Kształt tych ciałek u człowieka i wyższych zwierząt jest mniej więcej kulisty; u niższych zaś zwierząt jest on więcej owalny. W środku takiego ciałka można dostrzedz nieco ciemniejszą plamkę, jakby żądło. Jak poszukiwania nowsze wykazały —jest to tylko złudzenie zależące od tego, że światło w tym miejscu innemu podlega załamaniu. Przy bliższym wpatrywaniu się będziemy mogli pomiędzy ciałkami rozróżnić jedne więcej zabarwione—są to tak zwane *czerwone* ciałka krwi i inne których stosunkowo barwa jest jasniejsza —są to tak zwane *białe* ciałka krwi. Ilość tych ostatnich przy normalnym stanie organizmu w stosunku do pierwszych jest daleko mniejsza, tak, że mniej więcej na 300 czerwonych ciałek wypada jedno białe—w niektórych jednak chorobliwych stanach ilość ich znacznie się zwiększa i dorównywa wówczas niekiedy ilości czerwonych. Nadto jeszcze białe ciałka krwi oprócz barwy wyróżnią się od czerwonych ciałek i tym jeszcze, że znajdują się w ciągłym ruchu polegającym na wypuszczaniu i wciąganiu wypustu, na ustawicznym zwężaniu się i powracaniu do pierwotnego kształtu. Budowa ciałek krwi zarówno czerwonych jak i białych nie jest jeszcze dostatecznie zbadaną: wszelako wiemy już, że nie mają one p o w ł o c z k i, a zatym nie są pęcherzykami, za jakie je dawniej mylnie uważano, a natomiast są to zdaniem wielu uczonych (Hoyer), k a l k i k o n s y s t e n c y i g a l a r e t o w a t e j, które wskutek tego właśnie mogą pęcznieć podobnie jak gąbka wsysając inne płynne materyje. Tak więc widzimy że krew składa się z części płynnej otocza i części stałej ciałek. O tym zresztą możemy nawet przekonać się bez drobnowidza bardzo łatwo, po-

---

ryby wam z nowej strony życie miasteczka i jego okolic przedstawił. Wspomniałem wam już nieco o społecznym i towarzyskim ustroju moich spółmieszkańców, ale czuję iż to były ogólniki, wymagające szczegółowych, pozytywnych objaśnień; krzykacz mógłby niemi być zadowolony, ale sumienny korespondent uznaje się po ich wypowiedzeniu dłużnikiem waszym... Obraz, którybym wam chciał przedstawić, a którego rysunek opierałby się na poznaniu jak największej liczby miejscowych i okolicznych jednostek, wiernie odbiciby musiał i wartość tego prowincyjonalnego ogniska, rozważanego jako osobnik, w porównaniu z innemi, spółmiernemi i stosunek jego do okolicy. Nim się wam jednak spłacę z tego długu, nim się lepiej wczytam w oblicze drzemiącego w swych murach grodu, przyjmijcie skąpy odsetek w postaci kilku bieżących wiadomości.

Bawi tu u nas od miesiąca towarzystwo dramatyczne p. Dębskiego. Oile z kilku pierwszych przedstawień, na których byliśmy, sądzić wolno, towarzystwo to z małym wyjątkiem składa się z sił—częścią przedwcześnie zużytych, częścią — zupełnie surowych, opatrzonych nienajlepszemi na przyszłość wróżbami. Z prawdziwym żalem patrzyliśmy na grę tych ludzi, którzy mogąc być pożytecznemi w różnym stopniu dźwigniami krajowego przemysłu i handlu, powodowani nadzieją łatwego chleba i sławy, bez potrzebnych zdolności, bez elementarnego wykształcenia weszli nieopatrznie na tę śliską drogę pseudo-artystycznej tułaczki. Cenimy sztukę, chylimy głowę przed potęgą sceny, pragniemy jej rozwoju; lecz zachowaj nas Boże od artystów dramatycznych w rękodzielniach i rękodzielników na scenie! Takie pokrzyżowanie dróg zawodowych—to ważny motyw społecznego upadku...

Przy schyłku dorocznych zabaw karnawałowych wydano, między innemi, na dochód niezamożnych dziewczątek tutejszego progimnazyjum żeńskiego—bal dziecinny. Pod tymże godłem, 7-go b. m. zbiorowe siły amatorów złożyły się na wokalno-instrumentalny koncert, połączony z przedstawieniem sztuki: „Za pozwoleniem łaskawa pani.“ Poważna cyfra osiągniętego z zabaw tych dochodu, świadczy o dobrej woli tutejszych mieszkańców.

Na zakończenie winienem wspomnieć, iż niektórzy z przebywających tu wychowańców b. szkoły głównej warszawskiej, składają się pod obecną porę na szereg odczytów, z których dochód, ma być przeznaczony na cele dobroczynne. Pierwszy z nich p. Arkadyjusza Płoskiego: „O zbytku“ odbył się już 1-go b. m., w tutejszej salce teatralnej. Licznie zebrana publiczność słuchała z namaszczeniem poważnych słów prelegenta, stojącego na scenie śród opłakanej dekoracyi, żywo przypominającej „Icka zapieczętowanego.“ Dodatnią cechą odczytu był piękny język i systematyczność rozwijanej myśli; ujemną — zbytek szczegółów drugorzędnych, ominięcie niezbędnych i niedostateczne ożywienie wykładu. Drugi z kolei odczyt ma mieć p. Burdzyński, „O socyjalizmie i komunizmie,“ trzecie miejsce w tym szeregu ma zająć wasz spółpracownik Bem; niezależnie wszakże od jego życzeń i wbrew korespondencyi umieszczonej w ostatnim N-rze „Przeglądu Tygodniowego,“ przedmiotem odczytu będzie nie *Słowacki*, lecz *Syrokomla*. Czwarty i piąty z kolei odczyt będą mieli: pp. Gajerski („O oddychaniu“) i Meleniewski („O stowarzyszeniach“).

Winienem wam nakoniec donieść, iż oprócz tych ostatnich śladów życia, których cztery piąte okrywa tajemnicza przyszłości opona, jest jeszcze jeden, dokonany w pierwszych dniach stycznia b. r. Chcę tu mówić o wygłoszonym już dawno odczycie p. Fabiana, lekarze górniczego okręgu, wychowańca b. szkoły głównej, „O temperamentach.“ Prelekcyja ta prowadzona w swobodnym tonie salonowej pogawędki, choć nie zdumiewała oryginalnością, bogato była osypana poetyckim kwieciem.

Sympl.

zostawiając swieżo upuszczoną z organizmu krew działaniu otaczającego powietrza. Po pewnym przeciągu czasu krew gęstnieje—krzepnie. Następnie skrzep ten oddziela z siebie przezroczysty bezbarwny płyn tak zwaną s u r o w i c ę, która zajmie górną część naczynia, na dole zaś osadza się część stała krwi, składająca się z cieniutkich włókienek przeplatających się wzajemnie—jest to tak zwany *włókniak* a pomiędzy nim ciałka krwi. Od czego zależy to krzepnienie krwi? Na to jeszcze pomimo usilnych starań wielu uczonych, nauka nie posiada dostatecznej odpowiedzi. — Tak więc zapomocą drodnowidza przekonaliśmy się że krew — n i e j e s t p ł y n e m j e d n o r o d n y m. Analiza chemiczna przekonywa nas również że i chemiczny skład krwi jest nadzwyczajnie złożony. Według zdania Moleschott'a krew zawiera w sobie wszystkie pierwiastki, potrzebne do utworzenia organizmu, chociaż ściślej biorąc pomimo bardzo licznych doswiadczeń robionych w tym celu, znajomość nasza składu chemicznego krwi jest jeszcze zbyt ogólnikową. Znajdujemy w niej z w i ą z k i o r g a n i c z n e — m i n e r a l n e. Jakkolwiek skład krwi bywa różnym z różnych osobników a nawet z jednego osobnika przy różnych warunkach życia; to jednak mniej więcej możemy go określić w następujący sposób: w stu częściach krwi jest 78% części wody i 22% części stałych. (Lewes.) Między temi ostatniemi znajdujemy: białka około 7% włóknika wyżej wspomnionego do 1%, składowych części ciałek krwi tak zwanych: g l o b u l i n y i l e m a t i n y—do 10%; oprócz tego znajdujemy jeszcze we krwi tłusze i mineralne związki: sodu, potażu, wapna, magnezyi; żelaza w połączeniach z chlorem, kwasem węglanym, siarczanym i fosforycznym. Ze wszystkich części mineralnych najwięcej jest we krwi—związków sodu, przeważnie chloranu sodu—czyli zwyczajnej soli kuchnnej. Skład ten stosunkowo podany przez nas ulegnie niektórym zmianom, jeżeli będziemy badali skład ciałek krwi oddzielnie, a osocza oddzielnie. Tak np. kiedy w ciałach krwi znajdziemy do 69% wody a 31% części stałych, to w osoczu będzie do 90% wody a tylko 10% części stałych. Jak już wspominaliśmy, znajduje się we krwi i żelazo, które zdaniem niektórych współczeniu z tlenem ma właśnie powodować czerwoną barwę krwi. Żelazo zostało odkryte we krwi przez pewnego Francuza Aeury: skoro się tylko wieść o tym rozniosła, zaczęto zaraz snuć chimeryczne mrzonki. Jedni zapatrywali się na to z punktu utylitarnego, sądząc że owe żelazo można będzie zużytkować w przemyśle po śmierci indywiduów, inni znowu zapatrywali się z więcej sentymentalnego punktu widzenia, podawano niemal wniosek, ażeby z krwi wielkich ludzi bito im po śmierci medale. Wszystko to pozostało w krainie marzeń, gdyż okazało się, iż chcąc otrzymać funt metalicznego żelaza trzebaby było conajmniej krwi ze stu ludzi (Vogt). Dowiedziawszy się że we krwi znajduje się żelazo, pewien student Paryskiego lekarskiego wydziału, postanowił ofiarować swojej kochance pierścień z żelaza z własnej krwi dobytego. Jakkolwiek tej ostatniej być może przyjemniej byłoby otrzymać jaką złotą broszkę, ale szlachetny młodzieniec innego był zdania. Robota szła mu bardzo po woli, niecierpliwość jego wskutek tego coraz się wzmagała, upuścił raz za wiele krwi i... rozłączył się ze swoją oblubienicą na zawsze. Cóżby to było gdyby we krwi złoto odkryto?!

Oprócz wymienionych wyżej ciał stałych i płynnych są jeszcze we krwi gazy w połączeniu chemicznym lub też pochłonięte, oddzielnie zaś od krwi nie ma ich i być nie może, wbrew przekonaniom starożytnych, gdyż jak doświadczenia pokazały, mała nawet cząstka powietrza wprowadzona w naczynie (w organizmie) w którym się krew znajduje sprowadza śmierć natychmiastową. Gazy te są; tlen, azot, i kwas węglany. *(d. c. n.)*

Z GALERYI

CHOROBLIWYCH TYPÓW SPÓŁCZESNYCH.

Kuzynka bawiąca przy familii.

Zacząwszy od damy cierpiącej nad siły z powodu niegodziwej magazynierki, co jej niewykończyłana czas wytwornego kostyjumu, aż do wyrobnicy-matki wyżółkłej od nędzy, którą mąż pijak pobił, nie mogąc znieść ciągłych jej szlochów i zostawił samą w nieopalanej kletce na poddaszu, otoczoną głodnemi wpół nagiemi dziećmi, — ileżto odmian cierpienia i istot nieszczęsnych!... Strasznym, a może i nużącym byłaby widokiem galeryja twarzy wykrzywionych bólem; zwiedzanie tajnych zakątków serc zatrułoby życie, gdybyśmy przy dziennym świetle ujrzeli w niejednej piersi ponurą izbę tortur, albo gniazdo wijącego się robactwa... Szczęściem, modna dama rozpogodzi twarzyczkę gdy się dowie o upokorzeniu swej przyjaciółki na balu, rozśmieje się żona wyrobnika w gronie towarzyszek pocieszających ją z kieliszkiem w ręku,—bo boleści, smutki są jak morze, które ma swe przypływy, to znów się cofa z zalanych wybrzeży, dopóki się ich tamą niebezpieczy, a cierpienia ludzkie to tylko mniej lub więcej zadawnione choroby domagające się leczących i higienicznych środków.

Po piramidzie ludzkiej niedoli snuje się wstęga grotesków splątanych z postaci pełnych komizmu i grozy, wśród tego mnóstwa są tu jednak twarze wolne od tragicznego piętna, lękliwe ale spokojne. Oczy ich bez zaciśnięcia brwi i wzniesionych źrenic spoglądają smutno i rzewnie; ręce ich opuszczone bezwładnie. Istoty te niezdają się należeć do czeredy dusz czyścowych; wyglądają jakby się przybłąkały tu przypadkiem i bezsilnie dawały się unosić prądowi tłumu, bez nadziei wydostania się z koła skazanych. Rzecz dziwna, widok tych postaci smutniejsze wzbudza myśli niż widok innych strasznieszych; radzibyśmy wyrwać je, zatrzymać w pochodzie ku zatraceniu, czujemy żal przeciw tym, którzy je tu wtrącili, żal nam tych istot bez przyszłości, istniejących bez celu, żyjących bez życia, bytujących bez nadziei...

— Kto jest ta oto młoda kobieta?

— E! niewarto się zastanawiać! to kuzynka bawiąca u krewnych.

— No proszę! to jakaś zajmująca figurka. I za cóż ona skazana tu, kto ją wpłótł w wieniec potępieńców, jakie są jej cierpienia!

— Kto ją wplótł? dużoby o tym mówić. Taż sama podobno ręka co popycha dziewczęta do chwycenia się za ramię pierwszego lepszego męszczyzny mającego chleb i dom, taż sama ręka co je wypycha z domu na ulicę...

— Jakie są jej cierpienia?

— Bardzo małe: brak pełnego oddechu, widoku i ruchu, i dźwiganie dnia za dniem od rana do wieczora—zresztą łaskawy chleb do sytości.

— Za co?

— A to dobre! za to, że nic nie umie, że do niczego niezdatna. Wolno jej... Trudno wyliczyć co może być wolno istocie, która nie ma nic i mieć nie będzi. Wolno jej myśleć sobie pokryjomu i płakać gdy nikt nie widzi, jeżeli jej się podoba. Nie wolno zaś... i tu trudne określenie, bo kuzynka nie mając praw żadnych i czując że jej wogóle nic nie wolno, po szczególy co do objaśnień w postępowaniu zwracać się powinna ku różnym niestałym znakom, jako to: spojrzeniom, giestom, półsłówkom i kaprysom otaczających ją osób. Każda chwila dla niej jest nieustanną wymianą dobrodziejstwa i wdzięczności, każda myśl troskliwym badaniem, czy np. jej cień padając na niewłaściwe miejsce, nie narusza czyich upodobań.

— A cierpieć jej wolno?

— Broń Boże! Cierpieć, jestto rzucać obelgę w twarz swym opiekunom, jestto krzywdzić dobroczyńców, którzy dając jej wszystko darmo, bez pretensyi i widoków, nie spodziewają się nawet wdzięczności, bo im aż nadto wiadomo, że zamiast niej otrzymuje się obłudę, niechęć, a nawet czarną niewdzięczność; ludzie ci dopiero w niebie mogą się spodziewać za dobre czyny nagrody.

— To jest zapewne jakaś wyjątkowa istota, wrzucona w niewłaściwą sferę jakiemiś zboczeniami z kolei życia.

— O nie! To typ normalny zupełnie i prawidłowy, wypływający z porządku rzeczy. Uważasz, tak było: Męszczyznom dostało się w podziale królestwo czynu, kobietom państwo miłości. Męszczyzna może działać na całej przestrzeni obszernej krainy, którą jeszcze rozprzestrzeniać może siłą swych ramion, kobieta powinna kochać tylko i działać przez miłość dopiero. Od ilości tworzących się ognisk domowych zależy cyfra wakujących królestw miłości, a ta, niższa jest zawsze od liczby kandydatek do tronu. Owoż zostaje zastęp istot zawiedzionych, z któremi niewiedzieć co począć. Społeczeństwo w kłopocie wyposaża je po macoszemu, dźwiga jak ciężar na barkach lub rzuca na los szczęścia w krainę hańby i zapomnienia.

Więc co dla męszczyzny jest bolesnym upadkiem, dogorywaniem na mieliźnie życia, dla kobiety jest utartą drogą; tak samo jak męszczyzna dopiero ostatecznie zmiażdżony, potłuczony w życiowym wirze dostaje się na spód społecznych mętów, kobieta dochodzi tam powolnym obsuwaniem się, bezwiedna i bezsilna. *(D. c. n.)*

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Z Kobryńskiego.

Dosyć często w łamach pism peryjodycznych warszawskich znajdujemy korespondencyje z różnych okolic królestwa, lecz bardzo rzadko (z wyjątkiem miast większych) z sąsiednich gubernij Cesarstwa. Za obowiązek więc uważamy spostrzeżeniami, jakie podczas naszego pobytu w gub. grodzieńskiej zrobiliśmy, — podzielić się z czytelnikami „Opiekuna Domowego.“

Najpierwszym rysem charakterystycznym życia społecznego, jaki rzuca się w oczy każdemu obdarzonemu choćby okruszyną zmysłu spostrzegawczego a przybywającego z bardzo nawet niedalekiego zachodu, jak np. z nad Wisły jest ogólny brak postępu. A najprzód w pojęciach: Jest np. bardzo wielu, którzy nie chcą, nie mogą pojąć tej wzniosłej idei naszego wieku, że się w człowieku ceni nie urodzenie, ale zasługa osobista.

Słyszeliśmy np. jedną pobożną damę mówiącą „że w Niebie miejsce dla szlachty musi być bliżej tronu Boga, niż dla chłopów“ *(sic!)*— O tak pani, — zawołał z entuzyjazmem p. X. młodzieniec wysokiego urodzenia, ale niestety... niskiego rozumu, — o tak, plebejom zanadto się dobrze dziś dzieje na ziemi, ażeby jeszcze na tamtym świecie mieli odbierać nagrodę taką samą, jaka się arystokracyi należy. — Daj pokój, nieodzywaj się z tym,—rzekł obok stojący p. J.—bo jeszcze jaki niedorosły *literata* gotów cię w gazetach opisać. Oni (literaci) dziś chłopów nazywają „ludkiem bożym...!“

Ten p, X. wypuściwszy majątek w dzierżawę żydom „bo tylko oni dziś umieją wyjść na swoje“ jest ów ś. p. Comes de Wątory:

Skreśla swoje herby, dawnych dóbr ogromy
I swoje skojarzenia z najpierwszemi domy!

Ale ten przedmiot za prawdę piękny, materyje bogate nie dają... chleba, a żyd za dzierżawę mało płaci. Więc gdy raz się skarżył na ciężkie czasy przed sąsiadem, ten mu radził dla *polepszenia czasów*, samemu zająć się gospodarstwem. Jeżeli ci się czytelniku zdarzyło kiedy widzieć twego bliźniego siadającego na stołku, w którym była wetknięta igła, szpilka, lub inne jakie tego rodzaju ostre narzędzie, to możesz sobie wyobrazić ruch, jaki zrobił p. X, usłyszawszy tę radę od zacnego sąsiada.—Ja!? rzekł—ja... miałbym dziś gospodarować, t. j. pracować jak ostatni parobek, prosić chama, ażeby mi przyszedł do roboty! O nie!.. Jakem X. z X-ów, wolałbym sobie w łeb wypalić!

Takie i tym podobne zdania słyszymy tu, w powiecie. Gdyby naprawdę przyszło takim panom X. X. wybierać między: palnięciem w łeb, a gospodarowaniem, to wybraliby chyba to ostatnie. Ale gdy przychodzi wybierać między tym ostatnim, a wypuszczeniem majątku w dzierżawę jakiemu Janklowi, lub Ickowi, chętnie zrzekają się znacznych zysków „byle pozbyć się kłopotu.“ To też usłużni żydkowie, jak tylko się dowiedzą o takim panu, który ma „duże hłopotów“ zjawiają się jeden za drugim chcąc mu *dopomódz(!)*. Pierwszą taką pomocą jest pożyczka na *umiarkowany* procent bo tylko: *sto za sto* na rok; drugą kupno zboża na pniu; trzecią wreszcie wypuszczenie majątku w dzierżawę.

Żyd który od dzieciństwa zajmował się jakim drobnym handelkiem w mieście, a o gospodarstwie tyle tylko miał wyobrażenia że potrafił żyto odróżnić od owsa, a kozła od owcy, zjeżdża do majątku jako „posesor“ i zaczyna gospodarować... Po trzech latach dzierżawy żyd przekarmiwszy się z całą swoją *famułą*, utył we dwoje i kieszenie obładował *co się zowie*. A tak zwany *obywatel ziemski*, co wyrosł na tej ziemi i jakto powiadają: zęby zjadł na gospodarstwie, nie mógł wyjść na swoje.

Przynajmniej połowa majątków ziemskich jest tu w ręku żydów. Przysłowie powiada: że najnieszczęśliwszym stworzeniem jest koń żydowski. Możnaby to samo powiedzieć o majątkach, które się w ich ręce dostaną. Po kilkoletnim pobycie takiego posesora istny obraz spustoszenia przedstawia się: grunta wyjałowione, budowle opuszczone, płoty popalone i t. d. i t. d. Żyd osiadłszy na roli nieprzestaje być handlarzem. Sam on ani ręki nieprzytknie do sochy lub brony, do cepa lub grabi, jemu wszystko zrobi kmieć, któremu płaci powiększej części wódką i którego na każdym kroku wyzyskuje jak tylko się da! Często się zdarza, że żyd tak potrafi włościanina zwłaszcza nałogowego uwikłać w interesa, że ten później rad nie rad, musi wypuścić mu w dzierżawę połowę swego gruntu, odstąpić połowę swego mieszkania i później ten grunt własnemi obrabiać rękami.

Oprócz żydów *posesorów* i *arenderzów* wszystkich karczem, jest jeszcze inny ich rodzaj na wsiach t. j. *pachciarzy*. Nie ma ani jednej większej posiadłości ziemskiej, w której by nie było pachciarza. Głównym *niby* jego zajęciem i powodem bytności na wsi jest pacht, t. j. wydzierżawienie *krów dojnych*, we właściwym znaczeniu, ale rzeczywiście dla niego „krową dojną“ jest: obywatel i kmieć. Pierwszy nic nie kupi, nic nie sprzeda, niewynajmie robotnika, niewypuści ogrodu w dzierżawę, a nawet czasem i nie wyda córki zamąż bez... pośrednictwa pachciarza; drugi zaś niewynajmie się na sobotę do dworu, niezgodzi się na służbę, również bez pośrednictwa pachciarza. Służba dworska jest dla niego źródłem dochodu: każden parobek, dziewka, furman, musi część swojej pensyi zostawić u pachciarza za wódkę. Zdawałoby się że środki stosowne powinny powściągnąć tak rozpowszechnione tu między ludem pijaństwo. Praktyka jednak pokazuje inaczej. Najściślejsza kontrola nie jest wstanie temu zapobiedz, dopóki po wsiach niebędzie w ludzie więcej oświaty! Daleka to jeszcze przyszłość, lecz miejmy nadzieję że nastąpi! Dziś lud ten, dopiero niedawno uwolniony, nieumie na dobre użyć swojej wolności. Nie można powiedzieć, ażeby uwolnienie od poddaństwa nieoddziałało na moralność. Lud wogóle tu leniwy, skłonny nadzwyczaj do świętowania. Nigdzie chyba niema tyle świąt ile oni tu obserwują. A żadne święto nieobejdzie się bez „horylki.“ Na najem chodzą bardzo niechętnie, z przyczyny tylko lenistwa, bo płaca za robotę w polu jest dość znaczna, a na obrabianie swego gospodarstwa dostatecznie by było połowy rąk roboczych w każdej „chacie.“

Apropos „chat“ muszę powiedzieć słów kilka, gdyż wielu czytelników może niema pojęcia co to jest dom mieszkalny tutejszego wieśniaka czyli t. z. chata *kurna*. Ma to podobieństwo do zwykłych domów wieśniaczych o tyle, że składa się z czterech ścian i dachu, wszedłszy zaś do środka, przypomina się jakaś wędzarnia dla ludzi. Ściany czarne jak węgiel, dym ci wyjada oczy, ust otworzyć niemożesz, bo zaraz się zakrztusisz, jakbyś głowę wsadził do komina, gorąco jak w łaźni! Doprawdy trudnoby uwierzyć że tak mieszkają ludzie gdzieś w Azyi, a nie dopiero tu w Europie, w Grodzieńskiej gubernii! A jednak tak jest. I ci ludzie niedadzą sobie powiedzieć nawet, że lepiej mieć komin, niż wędzić się ciągle w dymie. Co to znaczy konserwatyzm!..

A teraz jeszcze słów kilka muszę powiedzieć o finansowo-ekonomicznym położeniu tutejszych ziemian. Otóż oprócz jakiejś apatyi, niezaradności, lub wreszcie fałszywej dumy niektórych jednostek, które chcą przed pracą, herbową się tarczą zasłaniać, powodem smutnego stanu niektórych majątków jest zupełny prawie brak kredytu wogóle u nas. Oto dowód: „Wileńskie Wiad. Gub.“ zamieściły ostatniemi czasy całe szeregi ogłoszeń sprzedaży dóbr nieruchomych w gubernijach północno-zachodnich. Sprzedaż publiczna osobom mającym prawo do kupna, odbywa się co rok w styczniu i w lipcu w Rządzie gub. Wileńskim. Między innemi majątkami jest np. wystawiony na licytacyją Szyszki w pow. Wilejskim, mający 5 dzies. siedziby, 20 dzies. gruntów uprawnych, 20dzies. odłogu, 35 dzies. łąk 150 dzies., lasu 40 dzies., zarośli 5, dzies., wód 1,130 dzies., gruntów nie przydatnych do uprawy, oceniony bajecznie nisko na 5,110 rub., który sprzedaje się za należność wileńskiej filii Banku Państwa w kwocie *58* rub. *30* kop. oraz za zaległość poboru procentowego i podatków ziemskich w kwocie *280 34* kop. Mógłbym przytoczyć takich dowodów więcej ale poprzestaję na tym jednym jako najwymowniejszym.

W przeszłym roku został założony w Wilnie *Bank Ziemski*, mający głównie za zdanie długotrwałe pożyczki na nieruchomości wiejskie i miejskie. Zdawało się że ta nowa instytucyja wielką przyniesie korzyść dla tutejszych obywateli potrzebujących, jak to mówią, podreperować się. Tymczasem... Bank Ziemski przy wysokim procencie i zawiłości manipulacyi stawia warunki tak niedogodne, że te chyba tego tylko nieodstręczą od zaciągnienia tam pożyczki, kto nie ma innego sposobu wyjścia.

Oprócz tego istnieje w Wilnie od lat kilku filija Banku. it.d. Państwa, lecz ta znów tak ostrożnie i z takiemi trudnościami pożycza, że działalność jej bardzo jest nieznaczna.

Tak więc widzimy w jak trudnym położeniu znajduje się tutejszy ziemianin, jeżeli mu zabraknie obrotowego kapitału... A to może się przytrafić każdemu, choćby najoszczędniejszemu i najrządniejszemu, ale mniej zamożnemu, zwłaszcza że nie weszło tu jeszcze w zwyczaj asekurowanie czegokolwiekbądź, jak ruchomości tak i nieruchomości. Niech więc się zdarzy jedno z takich nieszczęść jak: pożar, gradobicie, lub zaraza na bydło, a wtedy jedyny ratunek—pożyczka u żyda lichwiarza, albo wypuszczenie majątku w dzierżawę także żydowi, bo tu innych dzierżawców nie ma. Towarzystw asekuracyjnych dawniej tu niebyło, od lat jednak paru istnieje zdaje się kilka nawet w Wilnie. Ale (nie wiem jak w innych miejscowościach) w Kobryńskim nikt jeszcze podobno „nieprzybrał się“ zaasekurować swego mienia. Dziwna to doprawdy niewiara do wszystkiego co jest nowe i opieszałość może tylko wytłomaczyć taką obojętność na własne bezpieczeństwo. „Żeby to ajent przyjechał, namówił, obliczył ile to będzie kosztować, to by się i zaasekurowało“ mówił mi jeden z tutejszych obywateli... *Z. A. Sza.*

ROZMAITOŚCI.

— Kurs poczt pomiędzy Kurowem i Opolem, Łęczną i Urszulinem, Piaskami i Żółkiewką, Tarnogrodem i Krzeszowem wstrzymany został. Poczty zaś kursować będą prostemi traktami z Krasnegostawu do Żółkiewki, i z Biłgoraju do Krzeszowa. Z Opola komunikacyja pocztowa będzie się odbywała przez Nowo-Aleksandryją i Rachów, z Łęcznej jedynie przez Lublin. Na trakcie warszawsko-lubelskim opłata za jazdę w karetach i omnibusach pocztowych od dnia 20 b. m. podwyższona została. Za miejsce w karecie płaci się nie po 3, lecz po $3\frac{1}{2}$ kop. za wiorstę, za miejsce zaś w omnibusach nie po $2\frac{1}{2}$, lecz po 3 kopiejki.

Odpowiedzi Redakcyi.

P-u Janowi Ob... Wiersz „Ciągle i naprzód,” nie kwaljfikuje się do druku w Opiekunie Domowym.

P-u Zyg. Jan... w Radomiu. Prosimy o Korrespondencyją przyrzeczoną.

P-u Sympl... w Kielcach. Dziękujemy — porozumiemy się bliżej listownie.

Ogłoszenia.

Sprostowanie. W N-rze 10-ym w „Śladach życia” str. 74, szp. 3-cia wiersz 12.ty od dołu zamiast „wartość ludzi” czytać należy: „warstwa ludzi.”

Дозволено Цензурою.—W drukarni Opiekuna Domowego.—Warszawa, Nowy Swiat, Nr. 30 (nowy).

Wydawca i Redaktor Henryk Perzyński.